

Pomiędzy murzynami najpiękniejsi są z Numidii, najwaleczniejsi z Senegalu, a najwięcej wykształceni z Sudanu. Oficerowie wychowują się w osobnym korpusie kadetów w Mequinez pod okiem samego cesarza. Najwyższa i zarazem najbogatsza szlachta ma jedynie przystęp do téj szkoły, z której tylko wyborowi uczniowie, celujący pięknoscią i zręcznością, dostają się do pułków murzyńskich. Examen bardzo jest trudnym: kawalerzysta musi w pędzie i w naznaczonym dystansie z konia strzelać, włóczyć i pugiuałem ciskać, i sześć na dziesięć razy trafiać; inaczej uważanym jest za niezdolnego do służby w gwardyi murzyńskiej.

Dość tu o téj pysznej kawalerji; prócz niej mieliśmy do 40 spahisów, dziesięciu oficerów gwardyi i spahisów, ze czterdziestu innych zbrojnych Maurów, i czterdziestu artylerzystów konnych angielskich, (kapitan sprawił im pyszne białe haiki i zawoje około kaszkietów, by ich zabezpieczyć od zabójczych promieni słonecznych). Wielbłądów i dromaderów było ze wszystkiém 263, mułów 85, osłów żydowskich 17, koni 102, palankinów 11, ludzi 247, nie licząc w to kobiety i dzieci siedzące w czterech lektykach zamkniętych; słowem, podobnej karawany dawno nie widziano w Mogadorze, i cała jego ludność zbiegła się na punkt zborny, aby być świadkami naszego odjazdu: był i basza o trzech buńczukach, i kapudan basza o dwóch, i himbasza o jednym, kadowie, ulemy, santony, fakiny i imany.

Kapitan Bowley powierzył swemu pierwszemu porucznikowi list księcia Alberta do cesarzewicza, i jemu oddał dowództwo nad Anglikami należącemi do wyprawy. Działa zagrzmiały, siadamy na koń, jeszcze raz ściskamy ręce przyjaciół. Muzyka janczarska na czele długiego hufca zagrała; ruszamy z miejsca, wstępujemy w morze piaszczyste oddzielające Mogador od dalekiego, kwiecistego widnokręgu.

— *The Trident will watch on you!* — krzyknął nam jeszcze raz kapitan Bowley.

XIV.

Podróż z Mogadoru do Maroko.

Mogador otoczony jest prawdziwą Saharą w miniaturze, morzem piaszczystém, na którym rozkielznane wiatry i uragany igrają swobodnie, przewalają tumanami mielutkiego piasku,

i wznoszą wysokie pagórki, częstokroć nawet foremne wały, przecinające podróżnym wszelką komunikacyą. Najczęściej cała powierzchnia téj małej puszczy wzburzoną jest jakby od bałwanów morskich, czasem powstają na niej w kilka godzin pagórki na 20, nawet na 30 stóp wysokie; nigdy wprawdzie tak prędko nie powstają te góry, żeby karawany całe pochłonać mogły, lecz nieraz powalą o ziemię człowieka i zakopią go pod sobą. Wierem porwane prochy jednego pagórka, kręcą się przez czas niejaki w powietrzu, a potem, własnym ciężarem padają na ziemię, i tworzą nowy pagórek. Dobrze wówczas należy zatykać usta i oczy, i trzymać się mocno na koniu, łatwo bowiem w takiej chwili oślepnąć i upaść na ziemię. Łatwo także stracić drogę pomiędzy usypanemi pagórkami, przegradzającemi widnokrąg, i tak często zmieniającemi się, że widać tylko niebo i piasek, a żadnego śladu kopyt końskich lub nóg wielbłądzych odkryć nie można na powierzchni, na której wir i wiatr w okamgnieniu wszelki ślad zaciera. Peryodycznie wiejące wiatry nasypują tu nieraz wał do 70 stóp wysoki, utrzymujący się stromo i spadziśto samym przyciskiem wiatru ciągle wiejącego. Szczególna i zastanawiająca rzecz, że mały strumyk wpadający pod Mogadorem do morza, chłodząc i zgęszczając powietrze swemi wodami, nie pozwoli tym wałom przekraczać jego brzegów, i zachowuje tym sposobem miasto od zasypania.

Można sobie tedy wystawić, z jakimi trudnościami mieliśmy do walczenia, przebywając Saharę mogadorską, choć umyślnie wybraliśmy na jój przekroczenie wieczór, to jest porę dnia, w której wiatr wieje regularnie od strony morza, i gładzi powierzchnię piaszczystą. Największa była bięda z wozami, na których wieziono niektóre większe części maszyny parowej, niemogące być przewiezione na grzbiecie wielbłądów. Koła tych wozów umyślnie były obwiedzione szerokimi tarcicami, żeby się głęboko wpijać nie mogły w piasek. Używać wielbłądów do tych wozów nie można, ten bowiem zwierz do dźwigania przeznaczony, nie potrafi nic wlec za sobą; zaprządź go także nie można, bo nie ma u niego punktu oporu dla chomonta, dla szlej lub dla puślisk. Zaprzężono tedy po 16 mułów do wozów, i z nieskończoną trudnością postępując bardzo wolno, używając do każdego koła po kilku ludzi, dla odgarnięcia piasku wznoszonego kołami, tyle dokazano przecięż, że w trzy godziny przebyliśmy niewygodną puszcze, ma-

jącą w tém miejscu najwięcej milę szerokości. Uszedłszy jeszcze z półtorą milą po gruncie dość równym, zawinęliśmy około jedenaściej w nocy przy świetle pięknego księżyca do *fondaku*, czyli obronnego karawan-seraju, który tutaj wznosi się w pośrodku lasku arganowego. Kolczaste to i bardzo nieregularnie rosnące drzewo, wydaje owoc podobny do orzecha włoskiego z łupiną ciernią i ściągającą; w środku téj łupiny znajduje się pestka bardzo twarda, zawierająca migdał oliwny, a oliwa z niej wyciśnięta smaczniejszą jest od najlepszego masła. Kozy jedzą łupinę z wielką chciwością, ale wypływają migdał; posługują się tedy Maurowie kozami, gdy zbierają migdał arganowy.

Przepędziliśmy noc bardzo europejską w owym *fondaku*, jedząc z oficerami angielskimi wyborny *bif-steak* bawoli z kartoflami Wielkiej Brytanii, pijąc *sherry* i grok z rumem Jamajki; nie brakło nawet plumpdingu, ani pasztetu z łodyg rumbarbarowych. Stół podróżny, składany, przykryty bielutkim obrusem, założony srebrami, oświetlony lampami, niedrgającymi w żadnym wietrzyku; dalibóg nic tu nie przypominało Afryki pod naszym namiotem, na którym bujała flaga Wielkiej Brytanii.

Ale za to w reszcie karawany jakie charakterystyczne życie! Niedaleko od nas rozpięto namiot panów oficerów gwardyi murzyńskiej: było ich trzech, z nikim się nie mieszały, dbali o swą godność jak junkry pruskie. Dalej koczowali około wspólnego ogniska i pod gołym niebem, otuleni w pstre burnusy oficerowie spahisów, dowódzca janczarów, kapudan obozu i przedniejsi Maurowie, podróżujący z nami, i kilku sautonów, włóczących się bez celu od miejsca do miejsca. Rozmowa toczyła się żwawo pomiędzy nimi. Wielkie oczy bystre, chociaż i długimi rzęsami zaciemnione, twarze świecące jak bronz polerowany zpod czepca białości śniegu, zęby jak perły, broń drogiemi kamieniami osadzona: — wszystko połyskało w migającym świetle pryskającego ognia. Pogadanka szła żwawo, chociaż dwóch nigdy nie rozmawiało ludzi; jeden prawił, drudzy oczy wciąż wlepili, uszy nadsztawiali i wołali: *allah! maszallah!* oh jakie dziwy!

Właśnie mówi Ali-Hakem wielki łowczy, sławny z swych wypraw przeciwko lwom Atlasu. W Tegeduo trzy mile ztąd, ma on namiot cały ze skór lwich uszyty; sto piętnaście paszczy lwich wieńczy ten namiot sławnego szeika, nieustraszonego w boju, i na łowach nieustraszonego, a mądrego w radzie.

— Tak, tak, oh przyjaciele!—mówi szeik Ali-Hakem—rozumwiają i zwierzęta pomiędzy sobą, tylko głosem nie dla wszystkich zrozumiałym: bo któż posiada rozum wszystkich języków, któremi się myśl wyjawia? tylko sam Allah!

— Tylko sam Allah—odpowiedzieli słuchacze—oh Allah, bismillah!

— „Tak tedy w dniach mój młodości—rzecze dalej szeik Ali-Hakem—wówczas, gdy się wąż czarny i błyszczący kędzierzawił, tu, gdzie teraz widzicie mą brodę śnieżną jak głowa Atlasu, wówczas rzadko przepędziłem noc całą pod dachem mego ojca. Pomrok nocny wywoływał mnie zpod namiotu, porywałem za strzelbę, i w gąszczu zaczynałem się na drapieżne zwierzęta, niszczące nasze stada. Raz obrałem stanowisko na skale zarosłej krzewami, górującej nad źródłem i nad bagnem. Miejsce to chętnie odwiedzały dziki, by tam myszkować i pić w krynicy. Księżyc już był obiegił połowę firmamentu, ja długo czekałem na próżno, i znudzony zasnąłem. Wtém budzi mnie szelest chrustu i łamanie gałęzi. Zapewne zwierz jaki duży nadchodzi, rzekłem do siebie, i zamek mój strzelby zrewidowałem, i wstałem ostrożnie, nim jeszcze *nieznajomy* wszedł do bagna. Potém słucham: krząka coś okropnie. Aha, to *el kunjar*! to odyniec, rzekłem do siebie. Istotnie, krokiem majestatycznym wstępuje w bagno dzik okropny. Księżyc srebrzył szerść jego długą, osiwiłą z starości, i jego kły potężne, lśniące jak ostrze dwóch kindżałów. Chodźno tu bliżej do krynicy, mówię do siebie, i cichaczem strzelbę odwiodłem.”

„Ale dzik ostrzy swe kły na kamieniu, zaczyna myszkować, słuchy nadstawia, jakoś niespokojny; czy przeczuwa bliskość wroga? Ja dech w sobie wstrzymuję, on wyciąga ryj w powietrze, wacha i milczy także. Mnie to dziwi niemało, bo powiów szedł z tamtej strony; mnie tu czuć nie mógł *el-kunjar*. Ale szmer jakiś lekki dochodzi mnie z brzegów błota. Odyniec coraz niespokojniejszy, mówi do siebie przytłumionym głosem, ale najwyraźniej jak tylko być może: „do czarta! spodziewam się przecież, że tu zdrady nie ma!”

— Maszallah! oh dziwy! — zawołali naokoło ogniska wszyscy słuchacze szeika Ali-Hakem.

— Tak!—prawi dalej Ali—nawet powtórzył swą bezbożną mowę dwa, czy trzy razy *el-kunjar*. Aż tu ja patrzę, a z gąszczu

wyiera łeb okropny, kosmaty, dwa węgle iskrzą się w tym łbie, naczupurzonym ogromną grzywą. Oh! teraz poznałem o co idzie: to lew skradający się na brzuchu, zupełnie kocim obyczajem, ale tak prędko, jak koń w biegu. Mruczał sobie coś pod nosem, alem tego zrozumieć nie mógł. Już tylko o dwadzieścia kroków od odynca odległy. Odyniec najeży się jak jęz, ja sam drzę ze strachu.“

„Odyniec osadza się na tylnych łapach, lew wpada nań jednym susem, wpada na kły potężne. Okropny ryk, razy spadają gęsto na obu walczących, obaj padają na ziemię, walka zacięta trwa z ćwierć godziny, potem z wielkiem dla mnie zadziwieniem dzik powstaje, wściekle uderza na swego nieprzyjaciela, i rozwała mu czaszkę. Ryczy lew, odpowiada mu zdala tysiąc szakalów. Odyniec topi swe kły w brzuchu płowego sultana: sultan zdycha. Odyniec pastwi się nad jego trupem i sam głośi swe zwycięstwo, mówiąc: „Ach sultanie! z starym kunjarem niełatwa sprawa!” Nareszcie poszedł się obmyć w krynicy, bo i on z licznych ran tracił posokę. Teraz mogłem do niego zbliżyć strzelać. Ale myślę sobie: czemuż go mam zabijać, kiedy on tak waleczny? sam na swą rękę lwa zwalczył i jego mi skórę zostawił. Może to czarownik, *dżin* jaki, trzeba go szanować. I kładę strzelbę na ziemi, czekam, żeby sobie dzik odszedł. On się kąpie i ciągle z sobą gaworzy. Znowu dochodzi szelest jakiegoś lekkiego a szybkiego, łamią się gałęzie, wypada z krzaków lwica z głową wysmukłą i spostrzega lwa zdechłego, rozciągniętego na ziemi.“

„Co? znów zdrada jakaś” — wykrzyknie odyniec.

„A lwica struchlała, zmartwiona, mówi ze łzami w oczach: „Oh Allah wielki! Wieprz niewierny, nazareńczyk, męża zabił mi mego; wieprz zabił sultana puszczy. Oh Allah! ja się téj zbrodni pomszczę.“ To powiedziawszy lwica pusuwa się naprzód, ale spojrzawszy w oczy odynca, cofa się nieboraczka krzycząc i płacząc: „Oh miłosierny Boże, jakie olbrzymie dziczyisko! oh wieprzu nazareński!“

„Niech czarci wiecznie piekają twą babkę” odpowie odyniec.

„Na to przekleństwo rzucone tak bezbożnie na matkę jej matki, lwica się zatrzymuje, bije swe boki ogonem, ryczy i wrzeszczy: „Tylko Allah jest zwycięzcą!” i pada na dzika, rwie go swą paszczą za gardło, pazurami brzuch mu pruje. Dzik się od-

cina, ale któż opisać zdoła wściekłość gniewu obrażonej sultanki. Obłok zaciemnia mi księżyc, nic już nie widzę, tylko słyszę jęki, ryk i najokropniejsze przekleństwa. Znów nic nie słychać, księżyc wychodzi zza chmury. Dzik nieżywy, rozciągnięty, na nim leży lwica i posokę mu wypija z serca. Ja mierzę o siedm kroków do łba, zatopionego poza oczy w piersiach dzika, strzelam, legła sultanka płowa. Nazajutrz dwie nowe pyszne skóry zdobyły namiot mego ojca.“

— Wiele wam téż zjedzą lwy bydła?—spytam starego szeika.

— W naszych stronach niewiele, bo umiemy trzymać owych sultanów w posłuszeństwie i w poszanowaniu cudzej własności. Czasem lew zje owcę, czasem porwie cielaka, nawet i krowę, gdy się oddali od stada. Lecz gdy się bydło trzyma kupy, wówczas i lew nie śmie doń dostąpić. Podczas nocy krowy obstepują cielęta wokoło, a byki na zewnętrznym obwodzie pilnują porządku. Stadniki gdy tylko poczują lub usłyszą lwa zdaleka, zaczynają ryczeć i kopać ziemię rogami i kopytami. Gdy się zaś przybliży, wówczas całe stado nie czekając zaczepki puszcza się obces na lwa. Nieraz się zdarzy, że dobry stadnik powali lwa na ziemię i przebije go rogiem. Sultán tedy widząc taką taktykę pomiędzy swojskiem bydłem, woli polować na gazelle, sarny, danielę i młode dziki, bo ze starym dzikiem to już trudniejsza sprawa.

— A człowieka czy napastują lwy często?

— Człowieka nacierającego lub uciekającego napastują i rozszarpują. Ale człowiek, gdy lwa spotka nie powinien być ani junakiem, ani tchórzem, tylko iść swoją drogą, jak gdyby nigdy nic, i nie oglądać się na lwa; wówczas płowy sultán widząc, że go się nie boisz, i że go obrażać nie chcesz, napatrzwszy ci się do woli, pójdzie także swoją drogą. Lew jest szlachetnym zwierzęciem.

— Które téż zwierzę najgadatliwsze? — spyta jakiś kupczyk chrześcijański z Mogadoru starego szeika Ali-Hakem z Tegu. —

— Prosię dzikie czy swojskie, i nazareńczyk — odpowiedź wręcz stary szeik, nie wiem czy w chęci obrażenia nas, należał bowiem do rzędu fanatycznych muzułmanów, nie przypuszczających, żeby nazareńczyk był czem inném, jak zwierzęciem.

Jeszcze na dobrą godzinę przed wschodem słońca ruszyliśmy w dalszą podróż. Droga dość szeroka i w dawnych czasach widać bardzo porządnie utrzymywana, murowana jeszcze przez Rou-

mów jak tu utrzymują, prowadziła po wzgórzach i dolinach na południu Atlasu, który z tej strony lekkimi tylko spadzistościami powoli wstępuje w mogadorską Saharę.

Ziemia wszędzie tu dobrze uprawna, pomimo tego wiele było ruin, mało wsi; częściej daleko duary ruchome, czyli obozy postawione w kształcie półksiężyca, łączącego się prawie zbliżeniami ku sobie rogami, lub też ustawione w dwa szeregi, pomiędzy które wpędzano nocną porą bydło i których boki zastawiano baryerami. W każdym bez wyjątku duarze był dom gościnny przeznaczony dla podróżnych, w każdym także można było dostać drobiu, jaj, nabiału, jęczmienia i słomy kukurydzowej, i to za bezcen. Szeik duary winien strzedz własności podróżnych nie tylko w duarze, ale nawet na gruntach do niego należących; on za tę własność jest odpowiedzialny. Kilkunastu szejków zostają znów pod władzą tak nazwanych wyższych szejków, wybieranych przez samych wójtów. Ci sprawują swój urząd z wielką sprężystością; witali nas zawsze przy wstępie do ich okręgu.

Przedtem okolica ta miała być nadzwyczaj ludną; wielka ilość zwalisk murowanych, studni, dróg i ułamków wodociągów o tem przeświadcza. „Zaraza nas wytepiła” mówili szejkowie spytani przez nas o przyczynę tego wyludnienia.

— Ale czemuż mieszkacie w namiotach, kiedy wyraźnie wprzód mieszkacie musieliście w chatkach: tak okazuje wielka ilość chatek murowanych i opuszczonych.

— Łatwiej obóz unieść z sobą, jak dom murowany lub drewniany nawet, a nieraz, gdy nam baszę poślą zdziercę, chciwosza, chcącego się zbożać, lepiej jest pójść w góry i lasy, i tam zle czasu przeczekać.

— A grunta wasze któż wtenczas uprawia?

— Nikt; grunta leżą odłogiem, my się żywimy jak możemy mlekiem krów i owiec, owocami leśnymi, zwierzyną; cierpimy, ale podatku nie płacim. Skarb na tem szkodzi i sułtan, który wie bardzo dobrze, ile pieniędzy wpłynąć winno do jego skarbcu, pyta się, gdzie leży przyczyna; a gdy się dowie, żeśmy uciekli w góry, wówczas dobry sułtan pośle nieraz *szuiszów* do baszy i każe mu gardło zasznurować. My wtenczas zstępujemy z gór i podatek znów płacimy najregularniej; wolimy bowiem żyć spokojnie z mąki i z kuskusu, przebiegać konno nasze piękne niwy, jak kryć się w górach, ucierać się z dzikimi zwierzętami i ze stokroć dzikszymi Berberami.

Tak rozumowali wieśniacy arabscy; lud to bardzo łagodny, pracowity i prawdziwie ze wszech względów wielkiego szacunku godny. Gdyby cywilizacya przyświeciła temu ludowi, ziemia nasza wielceby zyskała godnych obywateli: bo tam, gdzie miłość do pracy i pokoju kojarzy się z uczuciem godności, tam wielkie są zasoby szczęścia na przyszłość.

Kraj przybiera postać coraz powabniejszą. Piękne rzeki, czyste i rybne zbiegają z gór; roślinność ziemi zachwyca oko, ruiny tylko myśl zasmucają. Czemuż jednostajnie na téj saméj ziemi rozwijać się nie może cywilizacya?

Tutaj są dowody, że niegdyś, w bardzo dawnych czasach była oświata.

Około 10tej przed południem, w odległości sześciu mil od Mogadoru stoimy w fónaku bardzo obszernym i gdzie wszystko na nasze przyjęcie było przygotowaném. Niezliczone mnóstwo Arabów z duarów okolicznych czekało nas tutaj, wielu także przyprowadzono i przywieziono chorych. Nikt pojąć nie jest w stanie, ile w tym kraju chory, biedny i cierpiący, wzbudza litości w zdrowych, bogatych i szczęśliwych. Czynności nasze lekarskie trwały godzin kilka. Musieliśmy rozpakować wszystkie lekarstwa i narzędzia chirurgiczne w osobnym na to przez Arabów wzniesionym namiocie, wykonać kilka operacyj, rozdać niezliczone mnóstwo lekarstw. A gdyśmy ukończyli czynności i posilili się wyborném mlekiem, bo apetyt nasz znikł w zbytniem znużeniu, wyruszyliśmy z fónaku jeszcze przy skwarze słońca, i strudzeni, śpiący, pierwszy raz w téj podróży szukaliśmy w palankinach spoczynku. Wstręt miałem dotychczas niezwalczony do tego palankinu; zdawało mi się, że człowiek nie na to przeznaczony, żeby bliźniego swego dźwigał jak bydłę; ale nasi niewolnicy nie zrozumieli przyczyn tego wstrętu, markotno im było nawet, żeśmy się nimi posługiwać nie chcieli; i aby nas przekonać, że się nie lekają pracy i że są mocnemi, kładli kamienie do palankinów i dźwigali je po dniach całych. By lepiej okazać gotowość służenia nam, przewali te kamienie: jeden Al-Hamilt-Bej, drugi Todor-Efendy. Chcąc położyć koniec temu bałwochwalstwu, kazaliśmy wyrzucić głazy i sami zajęliśmy ich miejsce. Niebawem także zasnąłem lekko kołysany na barkach biednych Fellanów, dodających sobie ochoty odśpiewywaniem jakiegoś monotonnego, smętnego hymnu, jakiegoś widać pochwalnej improwizacyi, bo często nasze nazwiska z epitetami nader pochlebnymi wspominane były w tych

hymnach. Zasnąłem, i przyznać muszę bardzo twardo, bo gdyśmy w fondaku nocnym stanęli, słońce już było zapadło za górą, którą wsiadając do lektyki widziałem piętrzącą się przed sobą.

Anglicy tu rozpakowali swą kuźnię podrózną i naprawiali wozy nadwergężone prędką podróżą po skalistych drogach. Każdy Anglik pracował za sześciu, nie jego oka nie uszło; podczas drogi kombinowali, wymyślali nowe wydoskonalenia, ściinali drzewa, przeistaczali je w koła mocne i trwałe i kuli te koła, mocniejsze pnie wydrążali, w nie pakowali lufy armat i wlekli je za sobą w miejscach, przez które inaczej przeprowadzić ich nie było można.

Ale powoli ucisza się wszystko, już bifsztyki i plumpuddingi zjedzone; Anglicy należycie zalkoholizowani winem i grokiem chrapią jak wieloryby. Maurowie patrzą na nich ze wzgardą i rozprawiają o bojach, łowach, koniach i huryskach. Wtém zdaleka dochodzi nas ciche, szybkie stąpanie dromedara.—To klus mehara puszczy—krzyknie jakiś Maur—to goniec konsulatu angielskiego.

Istotnie to był murzyn Abur-Naza, już z powrotem z Maroko. W 52 godzinach zrobił mil 33 i bawił w mieście godzin 14. List wręczył samemu królewiczowi i dostał od niego 60 cekinów nagrody: tak był uradowanym ksiązę z wiadomości otrzymanych. Nie posiadał się z radości dobry murzyn, i jego szczęścia przytłumić nie zdołały nowiny o gniewie baszy, o jego pogroźkach.

—Nie obawiam się baszy na mym mehari; orzeł się strzelca nie lęka, gdy na swych skrzydłach wysoko buja w powietrzu, —rzekł Abur-Naza.

—Jednakże mój przyjacielu, jednakże—powie Al-Hamilt-Bej—basza ma długie ręce i mściwym jest bardzo.

—Nie sięgnie po mnie aż do konsulatu angielskiego, to pewna! —odpowiē goniec—a zresztą, jeśli się spostrzeżę, że coś źle pachnie, wówczas zabieram wszystkie me cekiny, a mam ich blisko 800 i umykam do Gambii, do mój ojczyzny, kazać się obwołać kacykiem, bom z kacyków rodu, i szlachetność wre w mój krwi.

—Przez puszcę Sahary?

—Przez puszcę. Ja się i puszczy nie obawiam: trzy razy ją przebyłem. Raz, gdy do niewoli pojmany przez króla Senegalu, poprowadzony byłem do Maroko i tam do wojska sultana sprzedany; drugi raz, gdy wykupiony z niewoli przez konsula angielskiego w Mogadorze, poszedł nad Senegal zdobyć tego mehari szybkiego jak piorun; trzeci raz, gdy zdobywszy dro-

medara wracał do Mogadoru. Teraz wiem jak trzeba postępować z przeszkodami i piasków, i głodu, i pragnienia, i w połowie księżycą przebiegnę ztąd aż na brzegi Złotej rzeki.

— O naucz mię, jak przebiedziesz przez puszcze w dni piętnaście—prosił Al-Hamilt-Bej.

— Nie mogę. Nikt prócz mnie nie ma takiego mehari, biegnącego równo z wiatrem północno-wschodnim, gładzącego w zimie powierzchnię piasków Sahary, zwilżonych deszczem; nikt prócz mnie nie usiedzi tak długo na drömedarze pędzącym jak uragan. A potem wy do tych krajów nie tęsknicie, wy za wędchem rodzinnego powietrza nie umiecie kierować kroków waszych, i przeżyć oazy i źródła, bo tam nie masz słupów milowych, ani też języka ludzkiego; i gwiazdy są zwodnicze, bo niedostateczne: o 15 mil dalej lub bliżej poprowadzić, to wszystko jedno, a dzień stracony i życie stracone.

Tak utrzymywał murzyn Abur-Naza; i wszyscy Arabowie, Maury i murzyni przyznawali, że ma rację, że ziemia rodzinna i woda i powietrze pachną, i swym zapachem przyciągają bardzo.

Tak silne czują przywiązanie dzieci natury do swej ojczyzny!

— Słuchaj Abur-Naza, a gdy do kraju wrócisz i zostaniesz królem?—spyta porucznik Trydentu mówiący po arabsku.

— Wówczas wysłę deputacją do waszej królowej, i ofiaruję jej mą rękę i me królestwo, w nagrodę za dawaną mi podczas lat kilku protekcją—odpowiéd Abur-Naza z największą spokojnością w świecie. On tak był pewnym, że królowa angielska z wdzięcznością jego ofiarę przyjmie, jak był pewnym swego mehari i swych ośmiuset cekinów. Ale wszyscy Anglicy oburzyli się naprawdę, słysząc Abur-Nazę traktującego tak lekko kwestyą małżeństwa królowej, i zaręczali Abur-Nazie, że królowa Wiktorya bardzo jest szczęśliwą z księciem Albertem, i nie pragnie innego męża, ani nowego królestwa.

I ta druga noc przeszła; wprawdzie, nie tak wygodnie jak poprzedzająca, bo bliskość gór pokrytych śniegiem wiecznym, dawała nam się we znaki przejmującym zimnem.

Ruszamy teraz już po wschodzie słońca, do przebycia bowiem drogi, która nas czekała, potrzeba było jasnego światła. Droga wije się ponad przepaściami, między lasami po grzbiecie skalistym gór.

Stajemy nad brzegiem rwącego, wartkiego strumienia. Na drugim brzegu bardzo wyniesionym i skalistym znajdowały się

dwa miasteczka murowane i murem otoczone; mnóstwo także tam było ogrodzeń pomniejszych częścią walących się, częścią jeszcze dobrze utrzymanych. Wszystkie domy miały płaskie dachy. Wiele małych ogródków rozsianych było tu i owdzie na spadziści; rosła w nich kapusta, groch i pszenica turecka. W pewnej odległości od tych dwóch miasteczek zwanych Aba-Zebir i Igdna, wznosiło się ze dwadzieścia kapliczek czworograniastych, z małemi kopułami, czysto bielonych, i na 10 do 15 stóp kwadratowych objętości mających. Byłyto domki santonów, miasteczka te bowiem obfitują w świętych umarłych i jeszcze żyjących. Cała dolina mogła mieć milę długości i dobre pół mili szerokości. Podczas deszczów i po stopnieniu śniegów cała ta dolina zamknięta pomiędzy wysokimi murami, a mało mająca spływu, zatopiona jest przez wodę, której głębokość nieraz dochodzi w niektórych miejscach do 50 stóp. W tej chwili odbywały się żniwa, pasła się wielka ilość bydła, i mnóstwo ludu zatrudnionego było na polu. Rozległe te łąny okryte kukurydzą, jęczmieniem, miały niekiedy ćwierć mili długości; ogrody napełnione pięknymi włoszczyznami, pełno wszędzie drzew figowych, daktylów, granatów, pomarańcz, wino i innych drzew owocowych. Żył w tym miłym zakątku do 7,000 ludności. Powietrze musi być tu bardzo zdrowe, choroby bowiem epidemiczne nawiedzające tak często cesarstwo marokańskie, rzadko tu dochodziły i niewiele porywały ofiar. Nie wstępowaliśmy do tych miast, drogi bowiem główne prowadzą mimo miast; ale dwa te miasteczka są jedynemi ludniejszymi miejscami z Mogadoru do Moroko. Dalżej od drogi leżą jeszcze dwa miasta. Około 10tej stanęliśmy w fondaku, od którego na ćwierć mili w bok leżą ruiny niegdyś potężnego miasta, zniszczonego temu lat 30 przez Muley-Ismaïla, pretendenta do korony cesarskiej. Tormenta, któremi zwalono mury jeszcze leżały pod rozwalinami. Całą ludność wytopiono do nogi, dzieci nawet i starców nie oszczędzono; dwieście tylko dziewic żywcem rozdzielono pomiędzy żołnierzy. Kości z ubitych jeszcze można było rozpoznać w gruzach. Nikt tu już nie mieszka w tém nieszczęsném miejscu.

Wieczorem stajemy w duarze sławnego szejka i marabba Abu-Malekim-Hadzi. Znany ze swęj waleczności, cnoty i fanatyzmu w całym prawie kraju, żył sobie podczas pokoju jak prawdziwy święty w modłach, pokutach i postach. Żon miał cztery pięknych jak wiosna, a jednakże jak niegdyś Edward Wyznawca unikał teraz tego wszystkiego, co tylko materyalną przyjemność,

lub zmysłową rozkosz sprawić może. Łagodnego jednakże nie był charakteru: karał srogo wszystkie zbrodnie i występki, a najmniejsze winy nie uszły jego bystrego oka.

Bu-Malekim-Hadzi ani wcale nie lubił chrześcian, ani też chrześcijańskiej cywilizacji, i błagał Boga pięć razy na dzień o sposobność zmierzenia się z niemi. Wojennym był dowódcą nie tylko swego duaru, lecz i trzech innych; przytém kapitanem honorowym gwardyi cesarskiej i dowodził szwadronem w czasie boju. Onto piérwszy uderzył na Francuzów w roku 1844 i śmierć znalazł bohaterską w bitwie pod Isly. Miał wówczas około lat 40.

Od duaru potężnych Ben-Malekitów do Maroko odległość wynosi zaledwie mil cztery.

XV.

Atlas i Maroko.

Trzeci dzień naszej podróży minął. Droga już wczoraj wieczorem oddaliła się była od gór i ciągnęła się po płaszczyźnie. Teraz od jednego razu, jeszcze długo przed wschodem słońca, zoczyliśmy na firmamencie, tuż blisko nad naszymi głowami w stronie południowo-wschodniej meteor jakiś, jaśniejący jak zorza północna w purpurowém, skupioném, rażącym świetle; meteor coraz większy, pysniejszy, aż wzrósł do potężnych rozmiarów niebotycznej, gorejącej kuli. To stary Atlas, który dźwiga od tylu tysięcy lat to nasze dobre i łaskawe niebo; to stary Atlas, któremu długo przed swém wejściem opowiada się, melduje słońce, u którego czeka w przedpokoju nim śmie wstąpić na ziemię!

Złotowłosy Febus przecież uzyskał pozwolenie wejścia nad naszą planetę; niebawem też z niego korzysta, szybko wysuwa się zpod widnokręgu wschodniego tarczy, ogromna jak kopuła św. Piotra w Rzymie, pnie się coraz wyżej, wyżej, zalewa oceanami purpury śnieżne szczyty Atlasu, złoci fiolet jego podróży, barwi całe łany urodzajnych pól bałwaniących się na płaszczyznach, a liczne strumienie spadające z rzewnych ocz wiecznego Tytana, przemienia w tumaniące się fale żywego srebra.

Zaprawdę, widziałem Morskie Oko, Jungfrau i Montblanc, zwiedziłem Pyrenee, Morrenę, Sierre Newadę, podziwiałem szkockich i norweskich gór uroki, ale coś podobnego Atlasowi nigdzie nie widziałem. Nie masz na kuli ziemskiej miejsca bliższego nieba, nie